

MARGINESY



MÀXIM HUERTA

NIE OPUSZCZAJ
MNIĘ

NE ME QUITTE PAS

MÀXIM HUERTA

NIE OPUSZCZAJ MNIĘ

NE ME QUITTE PAS

PRZEŁOŻYŁA AGATA OSTROWSKA

MARGINESY

*Pamięci Any Marí Matute,
która przyniosła mi wiosnę.*

No me dejes (Ne me quitte pas)

COPYRIGHT © Màxim Huerta Hernández, 2015

© Espasa Libros S. L. U., 2015

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Ostrowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2017

Trzeba samemu wymyślić sobie życie, a w końcu
okaże się prawdą.

Ana María Matute

Wiatr wieje tak... Może będzie deszcz.
Coś wisi w powietrzu, ktoś poczuł to też.
Nie wiem, co będzie, co przygna ten wiatr.
Powiem, co wiem na pewno: zna tę opowieść świat.

Mary Poppins (przeł. Artur Warski)

Nad Paryżem leci ptak, który przed kilkoma minutami uciekł z klatki. Szuka sobie miejsca na dachach Saint-Germain-des-Prés. Z niektórych kominów wydobywa się dym, a wiatr bawi się nim i tworzy najróżniejsze kształty. Kobieta wygląda przez okno, żeby sprawdzić pogodę. Szaro – jak zwykle. Ptak przysiada na markizie nad wejściem do Café de Flore i obserwuje wchodzących i wychodzących. Gdzieś dalej zaczyna się życie. Otwiera się brama, młoda dziewczyna podnosi walizkę, dwóch mężczyzn zapala papierosy, policjant poprawia marynarkę, kobieta zamyka okno, a kiedy przewraca się krzesło przed Café de Flore, ptak, który uciekł z klatki, umyka spłoszony i szuka innego, bardziej gościnnego miejsca.

W kwiaciarni zawsze ładnie pachnie.

L'Étoile Manquante to jedno z miejsc, przed którymi warto się zatrzymać i poczekać, aż otworzą się drzwi i ktoś wejdzie albo wyjdzie. Dziś wchodzimy.

Pierwsza klientka to emigrantka z Hiszpanii. Tuż po przyjeździe autobusem do Grenoble świeżo poślubiony małżonek porzucił ją dla opartej o bar w kafejce Francuzki z rozpiętym górnym guzikiem bluzki. Mercedes uznała, że skoro już musi od niego uciec, to najlepiej do Paryża. I tam już została, bez znajomości języka i bez męża.

Od tamtej pory mieszka pod numerem 14 w starej kamienicy przy rue Visconti, o bramie w kolorze błękitu pruskiego prowadzącej na wewnętrzny dziedziniec, ze spękanymi ścianami, posadzkami z piaskowca i dozorcą o nienagannych manierach, w towarzystwie pieska. Niemal tak stary jak jego pani, prawie nie szczeka i całe dnie przesypia pod oknem. Okno się nie domyka. Myślę, że pies jest już jedną łapą w grobie. Jego pani ma dwa pokoiki, marmurowy kominek, na posadzce częściowo terakotę – mocno zniszczoną tysiącami stóp, które deptały płytki na przestrzeni wieków – a częściowo parkiet, przez co powstał niebezpieczny występ. Nic dziwnego: pierwszy dokument dotyczący tego budynku spo-

rzządzono 7 marca 1580 roku, kiedy to Sédille Martin sprzedał go Louisowi Claude'owi Bertrandowi z małżonką. Po licznych perypetiach spadkowych dom trafia w ręce kuzynów i pod koniec 1691 roku zostaje ponownie sprzedany przez jednego z nich, Jeana-Baptiste'a Hallora de Serranville albo Ferranville (nie wiadomo na pewno). Kilka lat później kupuje go radca parlamentarny, właściciel numeru 16 przy tej samej ulicy. Z Louvencourtów. Budynek zostaje wówczas przekształcony w hotel dla pierwszej kompanii muszkietierów gwardii królewskiej, tak jak inne budynki w dzielnicy. Po śmierci właściciela, około roku 1772, zaczyna się walka o schedę pomiędzy jego dziećmi, aż 9 maja 1777 roku dom kupuje Pierre Elie Barraux Desgranges. I tak budowla przechodzi z rąk do rąk, od spadkobiercy do spadkobiercy, sprzedawana i kupowana, zamieszкана i niezamieszкана przez malarzy i marszandów. Ostatni właściciele zasłyną skąpstwem, mimo posiadania nieprzebranych bogactw. Do pana Frémonta, zarozumiałego snoba, należała kiedyś niemal cała miejscowość Bormes-les-Mimosas, zaś pani Frémont dekoruje katedry, przyjaźni się z wielkimi malarzami i nigdy nie zapomina, że w tej okolicy mieszkał Delacroix. Wbrew temu, czego można by się po tej parze spodziewać, żalowali każdego grosza na budynek. Zdarzało im się na przykład wyjmować ze śmietnika zwiędłe kwiaty i sadzić je w ogródku.

Tak mijały lata, aż do dziś.

Pod tym niedomykającym się oknem, przez które widać dachy i kominy Paryża, doña Mercedes ulokowała okrągły stół i ustawiła na nim wazon na kwiaty. Dziś jest pusty. O tej porze bukiet suchych liści i płatków spoczywa już w worku w kuble na dziedzińcu, a dozorca wepchnął go na dno kijem od szczotki.

– *Bonjour madame.*

– *Bonjour Julien.* Piękny dziś dzień.

– Ostatnie promienie letniego słońca. Ale proszę uważać na wodę przy wejściu, przed chwilą podlewałem wężem. To nie deszcz, to ja.

– Tak, widzę... Miłego dnia.

Dwa ptaki pijące wodę z kałuży wzbiły się do lotu, kiedy doña Mercedes wyszła przez bramę na ulicę.

Pewna kobieta kupowała czasem kwiaty w kwaciarni Dominique'a Brulégo i wychodziła z nosem zanurzonym w bukietcie. Z początku Brulé zastanawiał się, kim może być i czy kwiaty do kogoś trafiają. Teraz jej nieobecność stała się jedną z wielu niewiadomych, jakie wypełniają każdy dzień w kwaciarni. Gdzie podziały się kwiaty? A kobieta? Skoro śmierć nierozzerwalnie wiązała się z tym zawodem, to uważał, że robi coś więcej niż tylko wiązanek. To wszystko, jak powie potem Violeta, to „tajemnicza rozgrywka między bólem a życiem”.

Dzwonek nad wejściem zabrzmiał dwukrotnie. Dominique klęczał na podłodze, jakby się modlił, do reszty pochłonięty nagietkami. Mercedes weszła do kwaciarni obciążona torbami zakupów i utkwiała w nim wzrok, jakby mogła spojrzeniem wyrwać go z transu, odciągnąć od wymagającego niezwyklej precyzji zadania. Postanowiła jeszcze raz otworzyć i zamknąć drzwi, żeby znów zabrzączały metalowe rurki. Nic. Spróbowała głośniejszą się odezwać.

– Proszę... Proszę pana, może mnie pan obsłużyć? Dzień dobry!

– Ach, oczywiście, przepraszam! Właśnie pani weszła?

Klientka skinęła głową, ale na jej usta wypełzł złośliwy uśmiešek.

– Przepraszam, najmocniej przepraszam... – powtórzył i odłożył nożyce na ladę. – Długo pani czekała? Boże, ale ze mnie cham! I do tego głuchy! Zaczynam się zajmować pod-

lewaniem, przycinaniem łodyg, i w końcu zapominam o najważniejszym: że po coś tu jestem.

– Mówiłam już przecież w zeszłym tygodniu, że powinien pan częściej wymieniać baterie w aparacie, bo w końcu ktoś wejdzie i coś ukradnie, kiedy pan będzie zajęty kwiatami. Nawet pan nie zauważy, kiedy otworzą kasę, zabiorą pieniądze i uciekną z całym utargiem... Zresztą, żeby tylko z utargiem! Po drodze zwiną jeszcze bukiet stokrotek... A pan się nie zorientuje.

– Że co?

– Że wejdą... Że pana okradną! O-krad-ną!

– Jeśli nie zauważę, że ktoś mnie okradł, to tak, jakby mnie nie okradł.

– Na miłość boską!

– Większość problemów pojawia się tylko wtedy, kiedy zdajemy sobie z nich sprawę. Gdyby więc ktoś wszedł i mnie okradł, a ja bym tego nie zauważył, to widocznie to, co skradziono, nie było dla mnie nic warte.

– Zobaczmy! Rozgłoszę wszystkim, że tutaj wolno kraść!

– Tylko to, za czym tęsknimy, sprawia nam ból. Zgadza się pani ze mną, pani Mercedes?

– Chodzi o to, że... – Poddała się. – Boję się o pana.

– Nie ma się czego bać. Nie jestem groźny.

– Nie boję się pana. W naszym wieku dla nikogo nie jesteśmy już groźni. Ale boję się, co z panem będzie. Wiecznie zajmuje się pan tymi swoimi kwiatami... Nieraz widziałam już, jak młodzi chłopcy wynosili stąd bukiety.

– Pewnie zakochani.

Sapnęła z frustracją i przewróciła oczami:

– Niepoprawny romantyk! – zawołała.

– Tak to jest z miłością... Nie sądzi pani? Nigdy nie zerwała pani polnych kwiatów dla ukochanej osoby?

– Owszem, z pola czy łąki, ale nie kradłam ich ze sklepu.

– Jako mały chłopak zawsze zrywałem kwiaty z doniczek dozorczyńni mojego budynku, hodowała piękne. Ale najczęściej kręciłem się po targu kwiatowym i tam, podczas gdy mama kupowała nasiona, ja kradłem, tak szybko i niezdarnie, że kwiatki nie nadawały się na bukiet. Rozpadały mi się w dłoni. – Poruszył palcami w geście sypania opadających płatków. – W końcu przekonałem dozorczynię, żeby posadziła róże. Cała ulica jej zazdrościła, ludzie przystawali je podziwiać, kiedy zostawiała uchyloną bramę, żeby pozamiatać czy przynieść wodę. No i stało się to, co musiało się stać: wszyscy zaczęliśmy podkraść jej kwiatki.

– Biedaczka. Złapała was?

– Skąd! Była dumna ze swoich kwiatów, które pięły się po ścianie aż do trzeciego piętra. A jeśli czasem nas przyłapywała, przemykała ogromne, wyłupiaste oczy i udawała, że zagląda do skrzynek na listy.

– I widać, co z pana wyrosło...

– To nie takie proste, ukształtowały mnie różne okoliczności... Ale faktycznie, kwiaty pozostały częścią mojego życia, na dobre i na złe.

Brulé wiedział, że może brzmieć to nieco dziwnie. I tak rzeczywiście było, ale wiedział też, że Mercedes sama wiele przeszła w życiu i nic jej nie zdziwi.

– Czego to dzieci nie wyczyniają... – powiedziała, żeby przerwać ciszę.

– Musiałem blednąć jak ściana, kiedy dozorczyńni wbijała we mnie te swoje wielkie, wytrzeszczone niebieskie oczy. Nieco niespokojne, tak jak my. Tak się śpieszyłem, że zawsze kłulem się kółkami i musiałem dusić w sobie krzyk, żeby nie wyszła z bramy i dalej patrzyła na te skrzyńki.

– Kobiety zawsze udają, że nie widzą.

– Ach tak?

– Jestem przekonana.

– Zazwyczaj zdawała sobie sprawę, że kradliśmy jej te róże, ale wiedziała, że to z miłości. A w miłości wszystko jest dozwolone. Ta dobra kobieta poucinała w końcu wszystkie kolce, żeby żaden chłopak się nie pokłuł... I proszę, gdyby ta biedaczka wiedziała, że dziś nie czuję żadnego ukłucia... Nigdy. – Westchnął, aż zadźwięczały dzwonki przy drzwiach. A może w ruch wprowadził je trzepot skrzydeł anioła? – Co to ja mówiłem? – Pstryknął palcami. – Zgubiłem się.

– Na pewno chciał mi pan powiedzieć, że ból jest nieodłączną częścią życia. Ale nie mamy teraz czasu ani ochoty na bolera.

– No dobrze, słucham.

– Przyszedłam po prostu po kwiaty.

– Domyślam się, że nie po to, by prosić mnie o rękę.

– Na miłość boską, zawsze się przez pana rumienię. Jak tak dalej pójdzie, znajdę sobie inną kwiaciarnię. Gdyby nie to...

– Gdyby nie to, że czytam klientom w myślach i zawsze wiem, jakich kwiatów potrzebują i z jakiej okazji. Słucham.

Dominique Brulé lubi przychodzić do swojego sklepu jeszcze przed świtem. Otwiera drzwi kluczem zawieszonym na szyi i zawsze prawą stopą przekracza próg L'Étoile Manquante. Zanim zapali światło i podniesie żaluzje, zamyka na chwilę oczy. W milczeniu porozumiewa się z wszystkimi odmianami kwiatów i wyobraża sobie nadchodzący dzień. Zostawia im dość czasu, żeby wróciły na swoje miejsca, bo podejrzewa, że przez całą noc mieszały się ze sobą, a on oczekuje, że kiedy naciśnie włącznik, wszystkie będą tkwiły w swoich wazonach pełnych czystej wody. Nigdy jeszcze nie przyłapał ich w ruchu, ale nadejdzie taki dzień. Jego kwiaciarnię, najpiękniejszą w Saint-Germain-des-Prés, wielokrotnie nagradzano – zawsze za piwonie. Ma siedemdziesiąt cztery lata i jest zodiakalnym Wodnikiem, a w dniu, w którym otwo-

rzył sklep, chciał zamknąć się w środku i umrzeć. Kiedy jednak zobaczył, jak nieśmiało rojniki potrafią przetrwać wiele tygodni bez wody i opieki, porzucone i zapomniane w żałobnej ciemności, zrozumiał, że i on zdoła przeżyć bez swojej miłości. Julie umarła, niech żyje L'Étoile Manquante.

– Nagietki. Dziś wyjdzie stąd pani z bukietem nagietków. Zapraszam. Dobrze pani zrobią. Podobno potrafią zmienić nastrój.

Mercedes lubi jadać sama w kuchni. Czyta miesięczniki i sprawdza, czy w skrzynce nie ma pocztówek z Hiszpanii – nigdy nie przychodzą. Każdego ranka kupuje gazety, karmę dla psów i kwiaty, a wcześniej, w kawiarni, popija filiżanką kawy dwa herbatniki przyniesione w torebce i przegląda nekrologi w dzienniku. Cieszy się, że nigdy nie trafia na swoje imię. W Paryżu nie ma żadnej innej Mercedes, więc w dniu, w którym je zobaczy, będzie wiedziała, że teraz już tylko jej duch pije bez płacenia kawę w Café de Flore i wędruje samotnie po mieście. Jeszcze bardziej samotnie. Drze paragony na maluteńkie skrawki i jak Blanche Dubois wierzy w uprzejmość nieznajomych, bo dużo chodzi do kina, w każdy poniedziałek, i zapamiętuje dialogi. Akcja wszystkich jej ulubionych filmów toczy się w Paryżu. Lubi rozpoznawać na ekranie Montmartre, plac Pigalle, Moulin Rouge, plac des Vosges, Ogrody Luksemburskie, Operę, Luwr, łodzie na Sekwanie... A sprawia jej to przyjemność dlatego, że rzeczywistość zawsze ładniej wygląda na zdjęciach, tak jak we wspomnieniach. Wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do tego miasta. Choć przybycie do Paryża było przełomowym momentem w jej życiu, Mercedes pozostała taka sama. Oczywiście zwiedziła go już w całości, ale z każdym nowym krokiem, czy to w szerokich alejach, czy wąskich uliczkach, na nowo czuje się wolna, a także – w jakimś sensie – osierocona. Podoba

jej się to. Kupuje pocztówki i ogląda francuskie filmy. W ten sposób przywołuje wszystko, czego sama nigdy nie przeżyła. Pozostaje żoną mężczyzny, który został w Grenoble, palicho w jakich okolicznościach. A zdjęcie ślubne nadal wisi na ścianie w salonie, tyle że twarz tego przystojnego, postawnego i eleganckiego mężczyzny zasłania zegarek kieszonkowy przyczepiony do ramki.

Jedynym mężczyzną, z którym rozmawia, jest Dominique Brulé, kwiaciarz.

Czasem, kiedy pyta ją o przeszłość, odpowiada, że jest Hiszpanką pozbawioną pamięci, że tak jak wielu innych poczuła się w obowiązku ją stracić. Że pamięta tylko numer telefonu domowego z dzieciństwa i kod do domofonu w Paryżu. „Wystarczy!” Żartuje z tortilli francuskiej, że wcale nie jest francuska, lubi malować paznokcie w piątek po obiedzie i zawsze nastawia telewizor bardzo cichutko, żeby móc przespać sjęstę z psem zwiniętym w nogach. Chodzi na mszę. Ale nie słucha. Lubi to, bo msza przypomina jej o babci i wiosce, w której się urodziła – kiedy była mała, podawała dalej wiklinowy koszyk, żeby staruszki wrzuciły monety na ofiarę. Mercedes pali nerwowo, odkąd uciekła od tamtej kobiety w niedopiętej bluzce i mężczyzny, który nie odrywał od niej wzroku, a teraz, kiedy coraz częściej widzi, że młodzi używają tytoniu do skręcania, kusi ją, żeby pójść w ich ślady, bo pamięta z dzieciństwa, jak ojciec sam robił papierosy smukłymi palcami, profesjonalnie niczym hawanka z wytwórni cygar, idealnie. Mercedes jest szczęśliwa, ale często denerwuje się, że nie przychodzą żadne listy, i dlatego potrzebowała dziś nagietków.

– Potrafią zmienić nastrój, pani Mercedes.

– Co pan wie, panie Dominique’u!

– Wiem dużo różnych rzeczy, na przykład że nie zjadła dziś pani ciastek do kawy i że niedługo przyjdą deszcze.

– Dopiero początek września... To jedyne, do czego chyba nigdy nie zdołam się tu przyzwyczaić. Wiele bym dała za słońce w kolorze owoców pigwy, takie jak w domu.

– Nostalgia?

– Czasem ogarnia mnie melancholia, ale od razu ją przeганiam. Smutek jest jak stary mebel, nie ma żadnej wartości. Chybcze się. Nocą trzeszczy i nie tylko nie przynosi pożytku, ale jeszcze ściąga pluskwy.

– To mi się podoba.

– Tak pięknie tu dziś pachnie! – zmieniła temat. – Jakies nowe kwiaty?

Mercedes siada na swoim miejscu i kładzie torebkę na kolanach. Zawsze czeka na tym niebieskim krześle, aż Dominique przygotuje dla niej bukiet.

– A tak swoją drogą...

– Tak?

– Skąd pan wiedział, że nie byłam dziś jeszcze w kawiarni?

– Jestem detektywem.

– Proszę się ze mną nie droczyć... Wystarczy, że wezmę te stokrotki, co to pan mówi, że poprawiają nastrój...

– Nagietki.

– Słusznie. Nagietki. A tak naprawdę, mówiąc między nami, jeśli chcę poprawić sobie humor, wypijam po przyjeździe do domu kieliszek białego wina i od razu mam humorek. Mówię, jak jest. Nie jestem z tych, co nie umieją się zabawić.

Mercedes skłamała. Choć rzeczywiście trzyma w spiżarni alkohol „do gotowania i duszenia”. I często, częściej, niż powinna, nalewa sobie kieliszek, żeby zdusić niechciane uczucia.

Czasem myślała, że Dominique to wariat, bawiący się nie tylko kwiatami, lecz także uczuciami swoich klientów. Nie bez powodu przepuszczała przed sobą stałych bywalców,

żeby zobaczyć, jak ich traktuje i jak przekonuje, które kwiaty powinni wybrać, bardziej jak prestidigitator niż kwiaciarz. Z początku sądziła, że po prostu chce się pozbyć roślin sezonowych i tych zaczynających już więdnąć, ale nie miała racji. Dominique Brulé był świadkiem miłości uzyskanych i utraconych, podbojów i pożegnań, prezentów i niespodzianek. Czy kwiaty i serce rzeczywiście tak wiele łączy? Mówi się, że kwiaty towarzyszą nam od dnia narodzin. I zostają z nami przez całe życie, nieprzerwanie, aż do samego końca.

- Wezmę może te...
- Oczywiście. Proszę wziąć dalej. A jeśli pani pozwoli, sam napiszę liścik.
- Bo właśnie nie wiem, co napisać...
- Urodziny? Już drugie?
- Pamięta pan, jak mówiłam, że...
- Ależ oczywiście! Proszę mi zaufać. Ma pani ochotę na cukierka? Proszę się poczęstować, tam stoi miska, a ja tymczasem przygotuję bukiet.
- Taki pan miły, wykształcony...
- I tu się pani myli, tu się pani myli... Jestem po prostu tłumaczem kwiatów.
- W takim razie niech pan przetłumaczy, co chcą mi powiedzieć...
- Spodobał mu się. Spodobał.
- Tak?
- Pani też mu się podoba... Proszę mi wierzyć.
- Kiedy za klientką zamknęły się drzwi, doña Mercedes uśmiechnęła się porozumiewawczo.
- Flirciarz. Podręcznikowy przykład lizusa.
- Bzdura. To piękna dziewczyna i dziś ktoś powinien jej to powiedzieć. Dziś ktoś jej powie, że ją kocha.

W dniu ślubu młodej Brigitte postanowił wypełnić kaplicę w Saint-Germain białymi goździkami. „Nie wykosztowuję się już bardziej” – powiedział. Młodzi pojechali w podróż poślubną, porobili zdjęcia i wykąпали się w wodach Morza Karaibskiego, bo zawsze marzyła o tym, żeby rysować serca na białym piasku, zbierać korale i nurkować wśród żółwi i rekinów. Goździki stanowiły jedyny prosty i niewyszukany element bizantyjskiego wesela państwa Bannaleców. Trafił w dziesiątkę. Dwa miesiące później małżeństwo się rozpadło, bo objęcia nie dosięgnęły serca. Albo – inaczej to ujmując – bo miłość to coś więcej niż objęcia. Słusznie więc postawił na umiar w kwestii kwiatów.

Od pierwszego dnia, gdy wszedł do tego starego warsztatu numizmatycznego przerobionego na kwiaciarnię, Dominique postawił sobie za cel uszczęśliwianie ludzi. Jeśli jemu szczęście nie było dane, niech będzie dane innym. A w swoim instynktownym zrozumieniu tego wszystkiego, co przydarza nam się w życiu, zachowywał niemal zegarmistrzowską precyzję.

- No dobrze, drogi detektywie, skąd pan wie, że nie wstąpiłam na śniadanie... Że po drodze nie wstąpiłam jak zwykle do bistra.
- Zauważyłem to od razu.
- ...?
- Kiedy tylko pani weszła i położyła torebkę...
- Nadal nie rozumiem.
- Cóż... Coś w środku zachrupało.
- Mój Boże! W ogóle nie pomyślałam. Teraz mam na pewno w środku pełno okruszków. Tak to jest, jak się myśli o niebieskich migdałach...
- Opróżniła zawartość torebki na ladę, a tymczasem Dominique zabrał się do porządkowania dalii zdobiących wystawę.

Mieszkanie doñi Mercedes to istne muzeum tanich antyków, które wynajduje na targu ze starociami przy Saint-Paul. Ogniśko domowe buduje się na przedmiotach i przedmiocikach. A ona wciąż się obawia, że każdy, kto odwiedza jej mieszkanie przy rue Visconti – a rzadko się to zdarza – od razu widzi, że lokatorka nie ma przeszłości. Kupuje więc portrety obcych ludzi na targu Marché des Enfants Rouges i wymyśla im biografie, żeby mieć jakieś towarzystwo. Zbiera zepsute, połamane lalki i szyje im nowe ubranka ze starych sukni. Ma niemiecki zegar z parą baletników tańczących o każdej pełnej godzinie. Twierdzi, że to po dziadku. „To wielkie, nadprzyrodzone szczęście, że udało mi się zachować tyle drobiazgów” – mawia, bo jak również twierdzi, podczas wojny jej rodzinę wygnano z pałacowej niemal rezydencji nieopodal Oviedo, otoczonej łąką pełną pasących się krów, i musieli zadowolić się gorszymi mieszkaniami w mieście. Całe szczęście, że nadal miała „te drobiazgi”. Ponieważ należy do rannych ptaszków, już od samego rana rusza na łowy, wypatrując na stoiskach prawdziwe skarby, dzięki którym za jedyne cztery euro może uchodzić za fantastycznie bogatą damę. Po południu przegląda jeszcze raz swoje zdobycze i z lubością odkrywa przeznaczenie każdego przedmiotu. Nie mówiąc już o tym, że wprost fascynują ją popielniczki zdobione pejzażami i kwiatami.

Dominique dobrze o tym wiedział. I zawsze obdarowywał ją kwiatami.

– Boże święty! Całą podszewkę mam pełną okruszków z ciastek, będę musiała opróżnić wszyściutkie kieszenie... A potem, co gorsza, zanieść torebkę do pralni, bo to maślane herbatniki, takie jak sprzedają w metalowych puszkach, i teraz wszystko mam w tłuszczu i cukrze. O ja głupia, bezmyślna... – powtarzała bez przerwy, jednocześnie tłumacząc stare

plamy na torebce, przywodzące na myśl mapę ze szkolnego atlasu, z wyspami i półwyspami.

Dominique zaoferował swój składzik środków czystości na ratunek jedwabnej kartografii, w zamian prosząc Mercedes, by wypisała ładnym, kobiecym charakterem pisma (tak to ujął) kartkę, którą chciał powiesić w witrynie. Doña Mercedes przystała na to oczywiście bez wahania, licząc na więcej rozmów. On więc szorował i pocierał, a ona pisała:

ZATRUDNIĘ POMOC DO KWIACIARNI

SZCZEGÓŁY NA MIEJSCU

NAZYWAM SIĘ DOMINIQUE BRULÉ

PS MILE WIDZIANE IMIĘ POCHODZĄCE OD NAZWY KWIATU

NE ME QUITTE PAS

Pan Dominique prowadzi kwiaciarnię.
To ulubione miejsce spotkań Mercedes i Tilde.
Obie Hiszpanki już od ponad czterdziestu lat mieszkają
i pracują w Paryżu. I obie czują się samotne.
Mercedes została porzucona przez męża tuż po przekroczeniu
granicy z Francją, a Tilde nigdy nikogo nie pokochała.

**Pewnego dnia życie ich wszystkich wywraca do góry nogami
młoda i nieokrzesa Violeta, uciekająca z Madrytu
przed nieszczęśliwą miłością. Miłością, która nie daje jej
jednak o sobie zapomnieć.**



**Wzruszająca powieść o radości, smutku,
nieobecności, pasji, emigracji i wygnaniu.
O i tym, że czasem zupełnie przypadkowe spotkanie
każe nam spojrzeć inaczej na nasze pozornie stabilne życie.
I dać powód do zmian.**

www.marginesy.com.pl



9 788365 780386

cena 37,90 zł

PATRICK MCGUIN

w sprzedaży także

eBOOK